

## PODRÓŻE DALEKIE I BLISKIE

*Małgorzata Anna Ciosmak*

# Islandia – kraj ognia i wody

## (dokończenie)

Coś mi się śniło, gdy z absolutnej ciszy wyrwał mnie delikatny głos koleżanki: „Co ty, Małgosiu, nie wstajesz?”. No to wstałam na równe nogi, zdając sobie sprawę z miejsca, gdzie mnie obudzono. Tak wychwalany wcześniej budzik po prostu nie był przeze mnie słyszany. Aby szybciej się orzeźwić, wzięłam prysznic – najpierw ciepły, pachnący cudownie siarkowodorem, a potem chłodny dla przytomności. Nie zapomniałam też o wyjściu na taras, by spotkać się drugi już raz z porannym islandzkim świeżym powietrzem. Słońce leniwie gramoliło się na firmament, choć była już godzina ósma. Kilka fotografii i... No i po zabiegach koniecznych z rana, całą grupą poszliśmy na śniadanie. Było bardzo pośpieszne, bo za pół godziny miał się zjawić nasz islandzki gospodarz – przewodnik. Mieliśmy być wtedy już spakowani, najedzeni i z bagażem gotowi do wyjazdu.

Deszcz nie padał i zapowiadał się piękny dzień, choć to ryzykowne stwierdzenie na Islandii. Temperatura około 14 stopni, wokół wulkaniczne wzgórza do połowy zasłonięte chmurami, które uparcie nie chciały odsłonić szczytów. Pani Sylwia i tym razem z nami na śniadaniu. Ona tu czuje się jak w domu. Co roku po przylocie na Islandię wypożycza samochód terenowy i jeździ gdzie się tylko da. Coś mignęło bielą za oknem. Jest! Już jest – idziemy. Oddane klucze od pokoi i wszyscy przy Fordzie Transicie. „Jestem Erlendur Parlsson, ale mówcie do mnie Erli!” – odezwał się luzacko ubrany Islandczyk, opatrując to uśmiechem od ucha do ucha. Cała nasza gromadka, 10 osób, usadowiła się według preferencji we wnętrzu, a bagaże dopychane kolanem gdzieś tłoczyły się za tylnymi fotelami. Nagle poczułam się jak w busie relacji Lublin–Kraków. „Wyjście Awaryjne” i „Exit Wyjście” na szybie i na drzwiach. Od razu poczuliśmy się prawie jak wśród swoich.

Program dnia był bardzo napięty, bo najpierw wygasły wulkan, potem wybrzeże z czarną plażą, a następnie światowa atrakcja – Blàa Lónið (Błękitna Laguna), po niej zaś największa w świecie elektrownia geotermalna Helisheidi. W Polsce organizator takiej „wycieczki” walczyłby z zagrożeniem zawalem z tytułu zbyt wielu

zamierzeń przy zbyt małej ilości czasu. Islandczycy podchodzą do tego w sposób nam odpowiadający: „Może zdążymy. Pośpiech, jaki pośpiech? Po co?”. Kiedy ktoś się spóźnił, pewnie miał ważny powód. Tu, na Islandii nie ma nieważnych powodów.

Środowisko jest nieprzyjazne ludziom i z tego powodu można być wytłumaczonym. Odległości pomiędzy siedzibami ludzkimi, a nawet pojedynczymi gospodarstwami, wynoszą wiele kilometrów. Wokół same pustkowia i często wybuchające wulkany. O tym była rozmowa z tubylcem, bo on wie o Islandii wszystko. Poważnie i z humorem toczyły się dysputy, aż dojechaliśmy do Krysuvik-Seltun.

Współcześnie są to po prostu gorące źródła, wśród których bulgocze popielate błotko. Obszar dosyć rozległy, kotlina otwarta w stronę północo-wschodnią. To wygasły blisko 350 lat temu wulkan. Pod nami na głębokości 1000 m temperatura powyżej 200 stopni Celsjusza. Wokół para wodna i nieopuszczający nas do końca pobytu zapach siarkowodoru. Już nie wykręca nam nosów – powoli się przyzwyczajamy. I nawet kanapka jest zjadana ze smakiem w takiej atmosferze.



Okolice wulkanu Hekla

**Jedną nogą w Europie, drugą w Ameryce  
– nad szczeliną międzykontynentalną**

Szliśmy po specjalnie zamontowanych kładkach, wykonanych z materiału przypominającego wyglądem drewno, odpornego na siarkowe wyziewy. Ktoś zapytał, czy nie ma zagrożenia wybuchem tego wulkanu. Odpowiedź wcale nas nie uspokoiła, bo ziemia wokół ciągle się trzęsie. Wprawdzie z różnym natężeniem i częstotliwością, ale jednak. Erli machnął znacząco ręką, co oznaczało, żeby nie zwracać na to uwagi, bo oni nie zwracają. „Wypadnie przywyknąć” – przypomniała się wypowiedź jednego z bohaterów filmu *Kochaj albo rzuć*. Powoli, krok po kro-

ku wchodziliśmy do krateru, łapiąc w oko obiektywu co tylko się zmieści. Kto mógł, nakręcał filmik z aktywnymi przejawami zjawisk wulkanicznych. Wszędzie ostrzeżenia o wysokiej temperaturze i niestabilnym podłożu. Krysuvik Seltun należy do jednego z czterech systemów wulkanicznych leżących wzdłuż uskoku erupcyjnego. W minionych wiekach eksploatowano tu siarkę do produkcji prochu strzelniczego.

Zachwyceni zjawiskami, które nas otaczały, nie za bardzo chcieliśmy jechać dalej, ale potrzeba dotarcia na czas jednak przeważyła. Krajobraz jakby polodowcowy. Równiny i wzgórza pokrywała murawa podobna do naszych górskich łąk – tatrzańskich hal i ani jednego krzewu, ani drzewa. Gdzieś pasły się konie lub owce. Nie uwiązane, bez ogrodzenia, ale jak później powiedziano, mające wmontowane czujniki GPS, co ułatwia ich znalezienie, gdy jest to konieczne. Busik wystartował, a kolejnym punktem wizyty tego dnia miała być światowa atrakcja. Słynna Błękitna Laguna. To kąpielisko połączone z uzdrowiskiem i wypoczynkiem.



Gejzer

Zanim jednak dotarliśmy do tej atrakcji, włączyłam kompas, aby zorientować się w stronach świata. Właśnie mijaliśmy którąś z kolei zatoczkę, nad brzegiem której kilka domów i łodzi wskazywało na skromną formę osadnictwa i zawód mieszkańców czyli rybołówstwo. Praktycznie co kilka/kilkanaście kilometrów był jakiś domek. I tylko tyle, bo dookoła pustkowie i tak zwany wygwizdów. Szmaragdowy kolor wody morskiej w zatoczce, czarny kolor wybrzeża i popielaty chmur stwarzały widok konieczny do uwiecznienia. Zrobiłam zdjęcie, myśląc jednocześnie, że gdzieś tam za horyzontem jest Europa, a w niej właśnie gotują obiady. Chyba nie tylko ja tak sobie pomyślałam, bo za moment słychać było szelest woreczków śniadaniowych i czuć zapach kanapek. Zaczęła mnie boleć szyja. Nie z przewiania, ale z bezustannego kręcenia na lewo, na prawo, w przód i tył. Tyle tu ciekawych krajobrazów, no i te zjawiska geodynamiczne. Najchętniej wysiadłabym i pospacerowałam, wtykając nie tylko nos, ale i palec w każdą dziurę w ziemi.

Jechaliśmy drogą tak zwaną krajową. Tylko takie są tutaj asfaltowe. Pozostałe to uwalowane warstwy „tłuczni” z lawy wulkanicznej. Ten tłuczeń wydobywany jest



Błękitna Laguna

zazwyczaj z kamieniołomów blisko miejsca gdzie jest potrzebny. Po zimie ubytki uzupełniane są takim samym żwirem i ponownie wałowane.

Kiedy dojeżdżaliśmy, już z daleka było widać obłoki pary wodnej unoszącej się nad terenem, a także błyszczące stalą budynki i kominy elektrowni geotermalnej. Duży parking dla mniejszych aut i autokarów był prawie całkiem zapełniony. Wokół przekrój narodowości świata. Otoczenie skupiało uwagę na chodniku i drogowych znakach. Wokół same czarne kamienie wulkaniczne i nic więcej, czasem jakaś drobna roślinka, której udało się zakorzenić w tym nieprzyjaznym środowisku. Zakładane z trudem trawniki miały wyraźnie charakter półpustynny. Zaciekawieni miejscem, doszliśmy do Błękitnej Laguny tunelem wykopanym w czarnej lawie. Najciekawsze jednak było za szklanymi drzwiami. Na dworze ciepłowo i wietrznie, a w pobliżu wody nie potrzebowaliśmy już kurtek i nakrycia głowy. Sama woda nieprzezroczysta, błękitna, ciepłutka, blisko 37 stopni Celsjusza, miejscami nawet 50. Dno, po którym stawialiśmy kroki, zadziwiło nas szorstkością i nierównościami. Trzeba było uważać na palce, aby ich nie wywichnąć. Obowiązek korzystających polegał między innymi na wymazaniu się białą gliną, odczekaniu na wyschnięcie, a potem splukaniu wodą, w której się aktualnie kąpało. Do stanowisk z gliną była kolejka i z trudem udawało się dostać. Bywało, że glinki zabrakło, a obsługa musiała ją donieść z innych miejsc. Kto wiedział, po wyjściu z uzdrowiska mógł naczepać jej całe stoiki. W sklepach uzdrowiska i drogeriach glinka jest bardzo droga. Rozleniwiające ciepło i słoneczna pogoda zachęcały do pozostania dłużej, ale szybko wyczerpywał się nam standardowy czas czterech godzin, za które płaciliśmy 1350 koron islandzkich. Z żalem opuszczaliśmy Błękitną Lagunę, obiecując sobie powrót w niedalekiej przyszłości. Jak na razie nic z tych obietnic nie wyszło, chociaż z lotniska Okęcie w Warszawie można już latać do Keflavíku bez przesiadki na którymś z europejskich lotnisk.

Było już około godziny 15.00 czasu lokalnego, gdy dotarliśmy do największej na świecie (znowu coś wyjątkowego w skali światowej) geotermalnej elektrowni Helisheidi. Robiła wrażenie na wszystkich – zarówno rozległość obiektu, jak i sama technologia przetwarzania

nia ciepła ziemi na prąd elektryczny. I o ironio losu – najlepsza, największa, modna z uwagi na OZE, a jednak narzekają, że kosztowna i mało opłacalna. Wokół kłęby pary wodnej unoszące się nad otworami eksploatacyjnymi, gdy nie jest produkowana energia elektryczna. W holu ekspozycja minerałów wydobytych podczas wiercenia otworów i budowy obiektów. Trudno mnie było oderwać od tych eksponatów. Wryłam sobie w pamięć wygląd okruchów skalnych, aby szukać podobnych pod nogami.

No i opłaciło się, bo kolejnym punktem pobytu w Islandii był kamieniołom lawy wulkanicznej. Co ja tam wyprawiałam! Biegałam jakby mnie gonił rój wściekłych pszczół. Od kamienia do kamienia, od sterty okruchów skalnych odstrzelonych od ściany, do samych ścian, na których był układ warstw dokumentujących geologiczną historię tego miejsca. Żałowałam, że mam taki mało pojemny plecak. Jednak kilka kilogramów skał miałam już „zabezpieczonych” jako eksponaty mojej kolekcji. Zaciekawienie budził czerwony kolor lawy, bo większość islandzkich była czarna lub szaropopielata. Na koniec dałam się sfotografować z dużym kamieniem i zadowolona wsiałam do busa. Za oknem zrobiło się szarawo. To już schyłek islandzkiego dnia. Dostyc szybko dojechaliśmy do miejsca, w którym mieliśmy spędzić najwięcej czasu. To całkowicie ekologiczna wioska Sólheimar. Odcięta od sieci energetycznej, posiada własną małą elektrownię. Odwiert geotermalny zapewnia wystarczającą ilość energii aby ogrzać, podać prąd do sieci lokalnej, umożliwić działanie wszystkich niezbędnych urządzeń z Internetem włącznie.

Każdy z nas otrzymał do pokoju trzy klucze: jeden od drzwi zewnętrznych budynku, jeden od drzwi do pokoju i jeden od basenu. Od razu kilka osób pobiegło wypróbować, jak działa ten od basenu. Na ścianie regulamin: korzystanie z basenu 24 godziny na dobę – za darmo, kąpać się można tylko minimum po 2 osoby na cały basen – pojedynczo zabronione z racji bezpieczeństwa. Woda



Kamieniołom lawy wulkanicznej



Polski kościół w Reykjaviku

pachnąca delikatnie siarkowodorem, o temperaturze 34 stopni, a w wydzielonym miejscu nawet 39. I jak było nie skorzystać z tej niewątpliwiej atrakcji. Siedzieliśmy godzinami po szyje w wodzie lub wykonywaliśmy rozmaite ewolucje z odbijaniem piłki włącznie. Zresztą w Reykjaviku, o czym nie wspomniałam, też są całodzienne baseny z geotermalną wodą. Niektóre z darmowym wstępem po godzinie 22.00.

W wiosce zabawiliśmy kilka dni, robiąc wypadki po okolicy i tak zwanym Złotym Pierścieniu (Golden Circle). Wszędzie towarzyszył nam zapach siarkowodoru, dużo wody, jak w wodospadzie Gulfoss, gejzerze (Geysir – tutaj powstała nazwa zjawiska geodynamicznego zwanego gejzerem), widoki wygasłych wulkanów i serdeczni Islandczycy oraz niepewność, czy wulkan Barðarbunga, coraz bardziej aktywny, nie przeszkodzi w powrocie do domu.

Dodatkowe wrażenie na nas robiła obecność Polaków, praktycznie wszędzie. Spotkaliśmy ich w Sólheimar, sklepach, rozmaitych instytucjach i na ulicy. Jest nawet polski klasztor Sióstr Karmelitanek w Hafnarfjörður koło stolicy, polska parafia z polskim proboszczem i nabożeństwami po polsku (w niedzielę polska msza o 13.00). W wielu miejscach są napisy po polsku i słychać polską mowę. Studiują tam także Polacy na uniwersytecie w Reykjaviku. Na 300-tysięczne społeczeństwo jest blisko 20 tysięcy Polaków.

Po wyjeździe na Islandię pozostały mi fotografie i minerały, a wśród nich czerwona, brunatna i czarna lawa, porfir, spat islandzki, pumeks. Ten pumeks i brunatno-czarna lawa pochodzą z okolic wulkanu Hekla. To obszar o promieniu około 25 kilometrów, całkowicie zasypany materiałem piroklastycznym pochodzącym z erupcji, jaka miała miejsce około 10 lat temu. Im bliżej wulkanu, tym mniej roślinności i większe kamienie. Zasypane popiołem i drobnymi okruchami pumeksu wystają jako tak zwane trolle. W szarościach dnia i wieczorami sprawiają wrażenie potwornych postaci wychodzących z ziemi. Nic dziwnego, że w minionych wiekach, przy nikłej świadomości brano je za złośliwe duchy, które należy obłaskawiać, aby nie szkodziły ludziom.

Wyjazd odbył się w ramach projektu „Go Green Across Europe”, koordynowanego przez Stowarzyszenie EkoLubelszczyzna.



Woda w basenie w wiosce Sólheimar